

## **Dariusz Karłowicz: Chrześcijanin w pochrześcijańskim świecie. Rozważania na czas sekularyzacji**

Kłopot z chrześcijaństwem polega na tym, że nie zgadza się ono na status subiektywnego przeświadczenia czy lokalnego przesądu, którego wyznawcy chętnie dostawią kolejnego boga do światowego panteonu partykularnych bóstw. Swoje objawienie chrześcijanie zawsze uważać będą za uniwersalne, a Boga za Jedynego Stwórcę, Pana i Zbawiciela. To właśnie dlatego Kościół wyszedł z katakumb. Posiada bowiem orędzie skierowane do świata, a nie do członków elitarnego klubu – pisał Dariusz Karłowicz w książce „Koniec snu Konstantyna”.

Już po raz drugi w historii Kościół znalazł się w sytuacji diaspory żyjącej w świecie, który bez licznych zastrzeżeń można nazwać pogańskim. Chociaż współczesność nie zanadto przypomina czasy Imperium Romanum, to wiele doświadczeń starożytnego Kościoła nabiera nieoczekiwanie aktualnej wartości. Nic więc dziwnego, że coraz częściej zwracamy się do starożytnych źródeł. Szczególnie cenne okazuje się zwłaszcza to wszystko, co podpowiada ogólne strategie postępowania wobec niechrześcijańskiego otoczenia – co ukazuje obszar możliwych kompromisów, odsłaniając zarazem przyczyny konfliktu chrześcijaństwa ze światem. Przy całym dystansie, jaki trzeba zachować wobec historycznych analogii, wydaje się, że idea powrotu do przedkonstantyńskich źródeł jest czymś więcej niż tylko publicystycznym frazesem. Pytanie o to, co mają ze sobą wspólnego Ateny i Jerozolima, Akademia i Kościół, na powrót staje się pytaniem

istotnym. Podobnie jak w starożytności, nie idzie w nim tylko o pogańską filozofię, lecz o całą kulturę – o kwestie ogólne i praktyczne – od życia codziennego poczynając, na duchowym kończąc.

A jednak chociaż granice Kościoła i świata są dziś wyraźniejsze niż w czasach duchowej dominacji chrześcijaństwa, to obrazowi wciąż daleko do ostrości. Tym, co zmniejsza jego czytelność, jest nade wszystko niejasny charakter świecczej kultury. Zasadniczą różnicę między dzisiejszym światem a czasami przedkonstantyńskimi stanowi fakt, że granicę między tym, co należy do Aten, a tym, co należy do Jerozolimy, zamazuje dwuznaczna, gdy idzie o prawa własności, masa upadłościowa cywilizacji chrześcijańskiej, która częściowo odchodzi w przeszłość, częściowo zaś w obszar profanum. Jej żywotność w tym, co dobre i złe, święte i świeckie – nawet jeśli jest tylko życiem po śmierci – jest dostatecznie znacząca, by uniemożliwić traktowanie jej jako zamkniętego rozdziału. Problem polega na tym, że rzeczywistość, która nas otacza, zasługuje nie tyle (czy nie tylko) na miano niechrześcijańskiej, ile raczej postchrześcijańskiej – czy, jak powiedziała by teolog polityki: pokonstantyńskiej – i ignorowanie tej właśnie różnicy wydaje się przyczyną bardzo poważnej konfuzji. Cóż, nie ma powrotu do czasów sprzed bitwy pod Mostem Mulwijskim – i to niezależnie od tego, czy ktoś uważa, że był to początek wiktorii, czy klęski.

Nie mam wątpliwości, że problemy wynikające z tempa dechrystianizacji współczesnego świata zasługują na poważne potraktowanie. Niejasny charakter świecczej kultury wytwarza ogromny zamęt intelektualny i moralny. Zbyt łatwo bagatelizuje się tempo i skalę erozji. Przykład pierwszy z brzegu stanowi głośny ostatnio problem świętowania niedzieli. Choć historycznie swój status dnia wolnego od pracy niedziela zawdzięcza sankcji religijnej, to dziś nawet chrześcijanom jawi się głównie jako skutek decyzji

ustawodawców. Świadomość tego, czy mamy do czynienia ze świętym obowiązkiem, czy też z naszym świeckim uprawnieniem, które możemy zawiesić, jest, jak się zdaje, mała. (Kto nie rozumie, o czym mowa, niech spróbuje odmówić przyjscia do pracy w niedzielę, argumentując, że jest chrześcijaninem). Z drugiej strony, znaleźć możemy liczne przykłady kruszenia kopii o sympatyczne, choć przypadkowo akulturowane symbole, które powtórnie dechrystianizuje i zagarnia handel czy łąpczywa kultura masowa. Nie ma powodu ginąć dla choinki, która wyszła z pogaństwa i być może kiedyś znów do niego wróci. Nie będę mnożył przykładów. Każdemu z nas rzeczywistość dostarcza aż nadto wielu kłopotów w odróżnianiu tego, co stanowi podlegający modyfikacji obyczaj, za sprawą historii ubrany w chrześcijański kostium, od tego, co jest niezbywalnym wymogiem chrześcijańskiego życia. Problem w tym, że żyjemy w czasach, gdy to nie Hermes, a św. Mikołaj (bywa, że pod postacią kobiety w śmiałym negliżu) jest bóstwem zimowego marketingu, gdy pojęcie „świeckich świąt” wydaje się tak spójne, że nawet pisma porno wydają specjalne świąteczne numery, a tytuły zajęte na co dzień sprawami niestrawnymi nawet dla letnich chrześcijan prześcigają się w publikowaniu przepisów na wigilijne dania. W tym zamęcie dyskusja nad tym, co dobre, złe i obojętne jest potrzebna bardziej niż kiedykolwiek. W ruinach cywilizacji chrześcijańskiej wyjątkowo trudno rozróżnić treść od ornamentu, bluźnierstwo od złego smaku, a obyczaj godny ratowania od tego, na który można machnąć ręką.

### **Postawa na czas sekularyzacji**

Jeśli Titanic tonie, to najwyższy czas zastanowić się nad postawą wobec odchodzącej cywilizacji chrześcijańskiej, a więc nad roztrofną postawą na czas sekularyzacji. Niektóre opinie rysują się już całkiem wyraźnie. Oczywiście, najlepiej widać postawy skrajne. Jedni zachęcając orkiestrę

do większego wigoru, skłonni są bronić każdej ozdoby. Przysięgają w duchu, że jeśli nawet to prawda, że konstantyńsko-chrześcijańska nawa idzie na dno (w co nie całkiem wierzą), to oni zejną z pokładu ostatni. Drudzy przeciwnie, widzą w tej sytuacji szansę odrodzenia. Przecież chrześcijaństwo i cywilizacja chrześcijańska to nie to samo. Niech płoną stare dekoracje, niech znikną wreszcie uciążliwe przywileje i serwituty, niech odejdą w niepamięć światowe ambicje, a naszym oczom niech wreszcie ukarze się czyste chrześcijaństwo uwolnione z niewygodnego kostiumu nawyków i obyczajów. Co robić? Czy grać w orkiestrze, czy też rąbać burty, przyspieszając zatonięcie rozprutego kadłuba? Tak sparodiowane strony konfliktu łatwo wyśmiać. Problem jednak nie w tym, że obie strony się mylą, lecz w tym, że obie mają za sobą poważne racje. Posłuchajmy.

### **Koniec jako szansa**

Narzekamy – powie przedstawiciel jednej ze stron – że handel nadużywa dziś symboli religijnych, ale czy to nie lepsze od czasów, gdy nadużywał ich tron? Czy obecna sytuacja nie jest w istocie zdrowsza od czasów niebezpiecznego mariażu religii i polityki? Kościół nie musi już firmować podejrzanych przedsięwzięć, znika pokusa stosowania przemocy, w przeszłość odchodzi nawracanie siłą, prześladowanie innowierców czy widmo wojen religijnych inspirowanych przez ludzi Kościoła. Narzekamy na rozmywanie różnicy między świętym a świeckim. A przecież mamy do czynienia z procesem odwrotnym. Zamazane przez cywilizację chrześcijańską granice między sacrum i profanum nabierają na powrót wyrazistości. Czy nie minęły wszystkie trudności epoki hipokryzji, gdy diabeł ubierał się w ornat – trochę ze strachu, trochę z przebiegłości, ale przecież również z braku innych ubrań. Brak jednego centrum ma swoje zalety. Dziś de Sade nie trudzi się pisaniem wstępów, w których dowodzi, że jego dzieła służą obronie znękaney cnoty. Jego uczniowie nie muszą udawać chrześcijan.

Hipokrycy zrobili się szczerzy.

Nasz lęk przed nieznanym nie jest oczywiście niczym dziwnym, zwłaszcza gdy upadek grozi zagładą tak wielu i tak doniosłych dokonań. Na co dzień trudno pocieszać się myślą, że cywilizacje przychodzą i odchodzą. To naturalne, że utożsamiamy je ze światem. Św. Hieronim mówił: „jeśli Rzym może upaść, cóż pozostaje pewnego?” Czy nie myślimy tak samo? Czy jednak nie powinniśmy być mądrzejsi o doświadczenia, których nie mieli obywatele cesarstwa? Główną lekcją, jaką chrześcijaństwu daje jego tradycja, powinna być wolność od tradycji. Czy upadek Rzymu zaszkodził chrześcijaństwu? Czy nie jest tak, jak twierdzi oczarowany paryską ulicą 68 roku André Frossard, że nadejście barbarzyńców jest formą oczyszczenia, rodzajem przygotowania, a być może warunkiem koniecznym odrodzenia się kultury kontemplacji? Czy to, co zmurszałe i złe, nie powinno spłonąć? Kiedy spojrzeć na ciemne strony chrześcijańskiej cywilizacji – mówił w Krakowie Charles Taylor – to „koniec świata chrześcijańskiego przynosi niesłychaną ulgę. Daje również szansę na powstanie nowych form duchowości (...) Zgoda, istnieje niebezpieczeństwo, że w obecnej sytuacji – w warunkach fragmentyzacji – możemy utracić niektóre z owych potężnych form duchowości, które przekazała nam tradycja. Nie jest to jednak nieuchronne; stanowi raczej dla nas wyzwanie. Z jednej strony mamy więc zagrożenia. Z drugiej jednak – pojawia się wielka szansa. Tak czy owak, stoimy w obliczu epokowych zmian, których nie można już odwrócić”[1].

Przy wszystkich wadach obecnej sytuacji wiele przemawia za tym, by traktować ją jako błogosławieństwo. Kultura to instrument, nie cel – jeśli nie daje się przestroić, należy zanieść ją do muzeum. Dlatego powinniśmy skoncentrować się na tym, co dla nas istotne, przyjmując do wiadomości, że walka o sprawy drugorzędne jest tyleż bezskuteczna, co bezsensowna. Kościół nie powinien przecież utonąć wraz z

odchodzącą w przeszłość cywilizacją. Brońmy rzeczy ważnych – ale nie używajmy autorytetu Chrystusa do apologii spraw akcydentalnie związanych z Objawieniem. Kościół przetrwał, bo zamiast ginąć za cesarstwo rozpoczął ewangelizację barbarzyńców. Warunkiem dialogu z ludźmi spoza Kościoła, warunkiem ewangelizacji jest dziś zdolność podjęcia rozmowy od początku. To dla nas wielka szansa, zwłaszcza że antyreligijne mity oświecenia upadają jeden po drugim. Współczesny, syty już świat przestał wierzyć, że religia stanowi erzac dobrobytu[2]. Uwolniony od oświeceniowych iluzji odkrył, jak bardzo jest spragniony Boga. Dlaczego wybiera różnych majstrów od duchowości, podejrzanych sprzedawców samozbawienia, religijnych oszołomów, a wreszcie zwykłych oszustów? Czy nie dlatego, że na prośbę o szklanekę wody odpowiadamy wykładem hydrologii, gorzej – całej historii hydrologii! Hasło odrzucenia niepotrzebnego bagażu wyraża zresztą nie tylko ducha dialogu, ale i sprzeciwu. Jeśli mamy odważnie świadczyć o prawdzie, to dajmy spokój Dantemu, katedrom, scholastyce – bo coraz bardziej przypominamy misjonarza, który afrykańskie plemię nawraca na historię kultury europejskiej, a nie na chrześcijaństwo. Scholastykę zostawmy profesorom – my świadczmy o Chrystusie.

### **Kapitan schodzi ostatni**

Dużo w tym racji. Trudno jednak zaprzeczyć, że natychmiastowy odwrót od ratowania tego, co uchodzi za puste dekoracje, wydaje się przedwczesny. Opuśćmy Titanica – wówczas zaokrętuje się na nim zadowolony z naszego pośpiechu diabeł.

Powiedzmy sobie szczerze, tęsknota za barbarzyńcą to świadectwo bezradności, a nie plan ratowania chrześcijaństwa. To trochę jakby mieć nadzieję, że trzęsienie ziemi naprawi popsuty telewizor. Wiara w to, że pożar spowodowany przez Gotów przygotowuje podstawy

odrodzenia, jest podobnie niedorzeczna jak marzenie, że bohaterowie „Big Brothera” przyczynią się od nowowy starych form duchowości. Katakлизmy niszczą, a nie oczyszczają.

Błąd skwapliwych grabarzy cywilizacji chrześcijańskiej tkwi w niezrozumieniu tajemnicy wcielenia. Iluzją – groźną iluzją – jest tak zwane czyste chrześcijaństwo, za którym zawsze tęsknią ci, którzy chętnie otwierają bramy barbarzyńcom. Natura ludzkiego poznania jest taka, że – z wyjątkiem mistyków – poznajemy Boga w sposób niebezpośredni, a więc że dla większości z nas warunkiem poznania Słowa jest jego wcielenie. To, co boskie i święte, ukazuje się nam poprzez to, co zmysłowe. Bóg objawiając się naszym oczom przybiera konkretną postać. Słowo stało się ciałem, a to znaczy również, że Jego Prawda wcieliła się w konkretny język, kulturę i czas. Nie ma chrześcijaństwa bez ludzi, a ludzie zawsze mówią jakimś językiem, żyją w jakimś czasie, należą do jakiejś kultury. Jak długo żyjemy w ciele, hasło czystego chrześcijaństwa kryje albo zwykłą naiwność, albo też stanowi zamaskowany wyraz tęsknoty do wyrażenia prawd bożych w języku nowej czy po prostu innej kultury. Jako współdziedzice depozytu wiary musimy zachować odpowiednią ostrożność – jesteśmy współodpowiedzialni za tłumaczenie, które powinno oddać ducha oryginału. Nikt o zdrowych zmysłach nie zamierza bronić misjonarza, który Afrykanów nawraca na Europę. Jednak z perspektywy indywidualnej niezwykle trudno odróżnić to, co stanowi ornament, od tego, co stanowi istotę. Zgoda! Wiele rzeczy, które były ważnym elementem chrześcijańskiego obyczaju, traci swoje odniesienie do religijnego, związanego z Logosem, centrum. Problem polega na tym, że nie wszystkie, nie w jednakowym tempie, nie wedle jednolitej zasady. Logos zdolny jest wcielić się i ożywić swoim duchem każdy język i każdą kulturę. Zdolność do inkulturacji chrześcijaństwa, to jeden z wymiarów tajemnicy inkarnacji Słowa, które zawsze zdolne jest „zamieszkać między nami”. To prawda, naszym zadaniem jest

tłumaczenie Słowa na kolejne języki, kultury i obyczaje. W pewnym sensie każde pokolenie Polaków musi powtórnie przełożyć Ewangelię na polski. Nie chodzi bowiem o to, że zasłuchani w Bachowskie kantaty, rozsmakowani w tercynach Dantego mylimy chrześcijańską cywilizację z chrześcijaństwem. Nam też chodzi o Chrystusa, a nie o Dantego, ale pamiętajmy, że możliwe jest złe tłumaczenie, że hermeneuta może zawieść – że przesłanie Logosu wyrażone w języku nowej kultury może zostać zafałszowane. A cywilizacja to przecież skarbnica wiedzy o sukcesach i porażkach. Czy można machnąć na nią ręką?

I słowo w sprawie tradycji, bo ta kategoria ma w Kościele sens inny od potocznego. Nie wolno nam przeoczyć różnicy między cywilizacją, którą stanowi zjawisko historyczne, a tradycją Kościoła, która jest obok Ewangelii głównym źródłem naszej wiary – sposobem, w jaki mądrość boża ukazuje się kolejnym pokoleniom ludu Bożego. To sprawa podstawowa. Tradycja i cywilizacja to nie to samo. Warto zadać sobie pytanie, czy można liczyć na to, że barbarzyńcy nie uznają tej różnicy za zbyt subtelną?

Po trzecie wreszcie, czy rzeczywiście trzeba przyśpieszać zgon czegoś, co ciągle przynosi duchowe owoce? Nie lekceważmy obyczaju. Łatwo się zagalopować mówiąc, że mamy być wierni treści, nie ornamentowi, Słowu, a nie sposobowi wyrazu, wcieleniu, a nie wigilijnemu menu. Pamiętajmy jednak, że wielu z nas do treści dociera właśnie poprzez ten przemijający ornament. Dlatego wstrzymajmy się z podkładaniem ognia, który ma oddzielić rzeczy na pozór drugorzędne i przemijające od najważniejszych. Kiedy pożar ugaśnie, może się okazać, że nie widzimy żadnej drogi, ponieważ w zapale spaliliśmy jedyny most prowadzący na drugą stronę. Obyczaj jest trochę jak kartka, na której zapisaliśmy naszą wiarę. Niszcząc go, możemy zniszczyć więcej niż tylko formę zapisu. Pamiętajmy, że mówiąc o odchodzącej być może cywilizacji, mówimy o żywych ludziach, których wiara, modlitwa i

miłosierdzie poprzez nią się właśnie wyraża – o ludziach, a nie o dysku komputerowym, który można wykasować, zastępując stary program nowym. Trudno tu o uniwersalną receptę – w każdym przypadku granica między rdzeniem a dodatkiem przebiega trochę inaczej. Zachęcając do natychmiastowego opuszczenia statku pamiętajmy, że mylenie treści z ozdobą, etyki z etykietą jest rzeczą ludzką – a wobec takiego zadania, jak próba pojęcia treści Bożego Słowa – właściwie nieuniknioną. Opuszczając Titanica opuścimy nie tylko statek, ale i ludzi. Czy mając świadomość ryzyka zgorzenia i duchowego zamętu, nie warto bronić dawnej formy? Czy ustępowanie w sprawach drugorzędnych nie skończy się na ustępstwach w sprawach ważnych? Machniemy ręką na duchampowskie wąsy namalowane na wizerunku Jasnogórskiej Pani, to zaraz obejrzymy krzyż w pisuarze. Z faktu, że msze wielkich mistrzów dla jednych stanowią odstręczającą starość, a dla innych przedmiot czysto estetycznej delectacji, nie wynika, że nie powinni jej słuchać w kościele ci, dla których dawna muzyka posiada ciągle religijny sens.

I wreszcie kwestia dialogu i ewangelizacji. Któż mając do wyboru rozmowę o sprawach najważniejszych z doświadczonym mędrcom i z młokosem wybrałby tego drugiego? A cywilizacja chrześcijańska to przecież nie tylko ciężar, ale wielki skarb mądrości i piękna. Ewangelizując musimy znaleźć wspólny język ze współczesnym światem, ale dlaczego nie mielibyśmy jej wzbogacać tym, co minione – kulturą, która poszerza nasze doświadczenie o doświadczenia pokoleń chrześcijan? I dlaczego wierność kulturze przodków miałaby nam uniemożliwić świadectwo?

### **Czy zatonię?**

W obu stanowiskach widać oczywistą niechęć do obecnej sytuacji. Tak, to prawda – jest ona szalenie niewygodna. Dlaczego? Otóż przede

wszystkim ze względu na swoją niejasność. Co robić? Przyśpieszać, spowalniać, czy cofać? Ogólne pytania oczekują ogólnych odpowiedzi, a tymczasem nie jestem wcale pewien, czy wiemy dostatecznie dużo, by sprostać takiemu poziomowi ogólności. Jedno jest jasne. Poznawczy dyskomfort nie jest najlepszą racją wyboru odpowiedzi. Trzeba bardzo uważać, żeby naszymi decyzjami nie zaczęła kierować chęć przywrócenia czytelności za wszelką cenę – wykreślenia za jednym zamachem wyraźnej granicy między ich światem a naszym czy powrotu do którejś z sytuacji znanych i oswojonych, nawet jeśli miało się to stać kosztem poważnych błędów. Marzenie o powrocie do tej samej rzeki jest wprawdzie psychologicznie zrozumiałe, ale jako cel z pewnością niedorzeczne. Kościół nigdy jeszcze nie doświadczył sytuacji, w której się dzisiaj znalazł. Czy można się dziwić, że nie mamy pod ręką gotowych rozwiązań?

Z pewnością podejrzliwie trzeba nam patrzeć na rzekome pewniki – na czele z tym, który mówi o dynamice, kierunku czy nieuchronności samego procesu sekularyzacji. Nic bardziej obcego chrześcijaństwu niż fatalizm różnych teorii dechrystianizacji. To prawda, ludzkie twory posiadają zdumiewającą zdolność kształtowania swoich twórców. Czasem wydaje się nawet, że potrafiły nie tylko uniezależnić się od nas, ale przejąć nad nami władzę. Golem czy Frankenstein to figury tego koszmaru. Nie znaczy to przecież, że kultura jest autonomiczna wobec naszej woli – i to jeśli nawet dysponuje tak potężnymi środkami, jakie dziś daje jej rynek i kultura masowa, i jeśli nawet te środki są w zasadzie poza naszym zasięgiem. Nie ma żadnej pewności, że Titanic zatoni – niezależnie od tego, co na ten temat sądzą eksperci wszystkich telewizji świata. W tych sprawach „konieczność”, jak słusznie pisał Milton, to jedno z imion diabła. Dlatego gdy idzie o postawę na czas sekularyzacji, to nie stosuje się tu automatycznie żadna generalna strategia odrzucenia czy obrony. Dla Kościoła liczą się ludzie, nie Titanic – więc postawą wobec nowych zjawisk rządzić ma

nie założona z góry sympatia czy niechęć, ale rozum kierowany przez Ducha. Dlatego Kościół będzie zarówno wśród tych, którzy ukazują żywe, duchowe treści cywilizacji chrześcijańskiej, jak i tych, którzy dawno przesiedli się na szalupy ratunkowe (włączając tych, którzy – jak się wydaje – płyną w niewłaściwym kierunku). Oczywiście sekularyzacja jest faktem. Musimy na ten fakt wpływać nawet wówczas, gdy nie mamy żadnych gwarancji, że to się nam uda. Dlatego jedyna możliwa postawa na czas sekularyzacji to chrystianizacja.

### **Niewyraźna wizja przyszłości.**

Obu postawom wobec Titanica może towarzyszyć program, który daje się zamknąć w figurze powrotu chrześcijaństwa do katakumb. W drugiej wersji jest to wizja enklawy kultywującej duchową kulturę przeszłości, w pierwszej obraz wyraźnie inspirowany legendą antyświatowego Kościoła pierwszych chrześcijan. Czy Kościół powinien zejść do katakumb? A czy Kościół kiedykolwiek był w katakumbach inaczej, niż pod przymusem? Myślenie analogiami może łatwo prowadzić do pomyłek. Kościół znalazł się w ukryciu nie z wyboru, ale z konieczności. Zepchnęły go tam prześladowania, a nie upodobanie do ciasnych korytarzy, tajemniczego nastroju czy pogarda wobec świata. „Mieszkamy na tym świecie razem i nie gardzimy forum, nie gardzimy targowiskiem, używamy kąpeli, chodzimy do waszych magazynów, warsztatów, hoteli, oglądamy wasze targi i cały ruch handlowy. Spotykamy się razem z wami na okrętach, razem odbywamy służbę wojskową, razem uprawiamy rolę i razem prowadzimy handel”, pisał wieki temu Tertulian (Apologetyk 42,2-3), i jeśli nawet było w tym sporo przesady – to nie było to z pewnością wezwaniem do ucieczki z forum. Kto w katakumbach widzi program, ten nie rozumie chrześcijaństwa. Zwłaszcza gdy katakumby traktować jako symbol prywatyzacji wiary, odwrotu od spraw publicznych czy zgody na rolę „mniejszości kognitywnej” odnajdującej się w charakterze jednej z

różnorodnych i równowartościowych ofert z działu produktów duchowych wielkiego rynku idei.

Kłopot z chrześcijaństwem – tak w starożytności, jak i dziś – polega na tym, że nie zgadza się ono na status subiektywnego przeświadczenia czy lokalnego przesądu, którego wyznawcy chętnie dostawią kolejnego boga do światowego panteonu partykularnych bóstw. Swoje objawienie chrześcijanie zawsze uważać będą za uniwersalne, a Boga za Jedyne Stwórcę, Pana i Zbawiciela. To właśnie dlatego Kościół – kiedy to tylko okazało się możliwe – wyszedł z katakumb. Posiada bowiem orędzie skierowane do świata, a nie do członków elitarnego klubu. Dlatego nie ma w zasadzie alternatywy dla budowania cywilizacji chrześcijańskiej – ewentualny spór dotyczyć może jedynie tego, jaka będzie jej architektura, z kim będziemy budować i jak wiele z dawnej budowli posłuży do budowy następnej. Ostatecznie przecież mamy to czarno na białym: bramy piekielne Go nie przemogą.

Z pewnością kultura daje się chrystianizować. Trzeba do tego – bagatela – siły świadectwa, głębokiego zrozumienia prawowiernej nauki chrześcijańskiej i doskonałego wyczucia języka współczesnej kultury. W tych sprawach starożytność daje ogromny materiał do przemyśleń. Świadectwo, teologia i inkulturacja to trzy filary, na których zbudowano chrześcijański świat. Na temat sposobów selekcji i adaptacji kultury pogańskiej powiedziano wówczas prawie wszystko. Augustyńskie *uti i frui* pozostaje drogowskazem na tej drodze, którą musimy iść dalej – niezależnie od zmieniającego się towarzystwa, pejzażu i języka.

Niestety, panujący klimat głębokiej defensywy nie służy dyskusji na temat tego, co proponujemy światu. Zamiast koncentrować się na strategiach przetrwania, trzeba wreszcie pomyśleć o celach. Inaczej obraz chrześcijaństwa w katakumbach okaże się samospełniającym się

proroctwem. A trzeba przyznać, że wizja celów jest wyjątkowo mglista. Pytanie, co znaczy dechrystianizacja, wydaje się oczywiste tylko tak długo, jak długo nie spytamy o skutki, jakie pociągnęłyby za sobą powtórna chrystianizacja współczesnej gospodarki, kultury czy polityki. Prawdę powiedziawszy, wyraźną odpowiedź mają tylko ci, którzy tęsknią do restauracji starych form cywilizacji chrześcijańskiej. Nie jest ich wielu. Pozostali, z ulgą przyjmujący zmierzch konstantynizmu (co wcale nie znaczy, że z radością przyjmujący obumieranie cywilizacji chrześcijańskiej w jej duchowym, a nie politycznym wymiarze), mówią wprawdzie, jak choćby cytowany wyżej Taylor, o końcu dawnego świata jako otwierającej się „szansie” i „wielkich duchowych wyzwaniach”, jednak ich obraz przyszłości jest – przyznać trzeba – dość enigmatyczny. Zgoda na to, że nie chcemy wracać do epoki politycznej władzy Kościoła, nie znaczy niestety, że wiemy, co robić i do czego zmierzać. Przekonującej krytyce wad dawnego modelu cywilizacji chrześcijańskiej nie towarzyszy przekonująca odpowiedź na pytanie, w jaki sposób chrystianizować świat, żeby nie powtórzyć dawnych błędów. Rad byłbym się dowiedzieć, pod jakimi warunkami można zrealizować formułę „uniwersalizm tak, konstantynizm nie”. Konstantynizm był przecież – ufam, że nie jedyną – ale istotną odpowiedzią na ducha uniwersalizmu. Fakt, że Kościół mądrzejszy o doświadczenie wieków nie zamierza sprawować władzy politycznej, nie znaczy przecież, że nie będzie zdążał do chrystianizacji polityki. Podobnie w sprawach kultury i gospodarki. Ewangelizacja tych obszarów jest oczywistym celem chrześcijan. Czy można chrystianizować forum, nie tworząc wariantu cywilizacji konstantyńskiej? Czy racji nie mają krytycy chrześcijaństwa, którzy twierdzą, że wbrew zapewnieniom dążymy do pełzającej restauracji poprzedniego stanu rzeczy? A może rację mają tradycjoniści, którzy we współczesnym duchu odnowy widzą cichą rezygnację z uniwersalnego wymiaru chrześcijaństwa? Czy dobrze wiemy, co znaczy chrystianizacja dla dzisiejszego świata? Czy wiemy, jak będzie on

wyglądał, jeśli powtórnie przyjmie chrześcijańskie orędzie? Czy będzie podobny do obecnego? Co się w nim zmieni? To pytania, na które nie widzę prostych odpowiedzi.

*Dariusz Karłowicz*

\*\*\*

[1] *Koniec świata chrześcijańskiego. Zysk czy strata?*, tłum. A. Pawelec, „Tygodnik Powszechny”

[2] Por. Chantal Millon-Delsol *Bóg na wygnaniu*, Miesięcznik Znak, październik 2001.

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego